



# PRZYPOMNIENIA LITERACKIE

## Czytanie źródeł III Ortodoksyjna tolerancja Witolda Niedźwieckiego

**Czesław Markiewicz**

---

W ostatniej swojej książce „Sodoma”, odwołując się do recepcji „Szatańskich wersetów” Rushdiego, m. in. przez czarnych ajatollahów, Witold Niedźwiecki napisał: Obawiam się, że ja, obeznany w rozmaitych pismach świętych, który niczego bezbożnego w niej się nie dopatrzyłem – też zasługuję na podobny wymiar kary – zwłaszcza za te niby apokryfy. Dlaczego Rushdie? Dlaczego „Szatańskie wersety? Kilka zbieżności – w podtytule „Sodomy” czytamy: „Apokryfy Starego Testamentu” (u Rushdiego to Koran); dedykacja w „Sodomie”: Nie zaleca się lektury wszelkiej maści ortodoksom (cytat z „Szatańskich wersetów”: Od samego początku ludzie posługiwali się Bogiem, żeby usprawiedliwić to, co usprawiedliwione być nie

może. Nikt nie zna ścieżek Najwyższego: mówią ludzie). „Sodoma” ukazuje się 16 lat po „Szatańskich wersetach”. Niedźwiecki jest więc bogatszy nie tylko o doświadczenie lektury Rushdiego, ale także o przemyślenia związane z konfliktem dwóch kultur. Zupełnie inaczej wygląda ta optyka kilkanaście lat wcześniej.

W 1985 roku ukazuje się „Sahra” Witolda Niedźwieckiego. Zaledwie trzy lata przed ukazaniem się powieści Rushdiego, a cztery przed wydaniem na niego wyroku śmierci przez Ajatollaha Ruhollaha Chomeiniego – przywódcy duchowego Iranu. „Opowiadania arabskie” – bo takim podtytułem opatrzona jest „Sahra” – otwiera sentencja: Nie osiodłasz strachu – nie dogonisz swoich marzeń. Ponadto uwaga odautorska: Zbieżność nazwisk z po-

stacjami historycznymi w tej książce nie jest czysto przypadkowa – ale fakty historyczne przemieszał w niej przesypany się piasek klepsydry czasu. Właśnie! Czasu. Czytając „Sahrę” powtórnie, w 2006 roku, domyślam się „Szatańskich wersetów”, z głębokiej nieświadomości literackiej odzywa się bezkrwawo „Faraon” Prusa. Od zawsze – okazuje się – jakieś dwa, obce sobie światy. Fascynują się nawzajem, ale też śmiertelnie się nawzajem lękają. „Sahra”, w tym moim wsobnym, naiwnym literacko „przemieszczaniu” i wewnętrznym „mieszaniu” – jest pierwszorzędną.

Już w pierwszym akapicie „Marakandy”, opowiadania otwierającego „Sahrę”, Niedźwiecki uświadamia mi, że pozornie obiektywne dictum czasu może być, albo nawet jest źródłem fundamentalnych różnic: Rumi, Rzymianie Wschodni, liczą lata od stworzenia świata i mają rok cztery tysiące sto pierwszy, Aramejczycy od narodzenia ich galilejskiego proroka Jezusa i jest u nich rok sześćset czterdziesty, Arabowie są w wieku młodzieńczym, bo, licząc od hidżry, mają rok dziewiętnasty. Poza czasem – źródłem różnic, powodem wzajemnego niezrozumienia jest także przestrzeń. O Sahrze – jako miejscu na mapie – dowiadujemy się z opisu postaci ghula, osobnika o makiawelicznym usposobieniu, żywiącym się ludzkim mięsem, który szedł na koniec świata, w góry Kalf, gdzie wysłał go Allah, aby sprowadził na przybyszy wszystkie dzinny na sąd za ich zbrodnie. Właśnie ów ghul jest nawiedzony przez nieszczęścia brunatnej Sahry – jak pisze Niedźwiecki. To topograficzne uniwersum nabiera doraźnego sensu, jeśli powiemy, że ta płaska pustynia (z arabska zwana Sahrą) rozpościera się między Karbalą a Najafem w Iraku. W tym sensie miejsce akcji „Sahry” staje się niejako przedmiotem współczesnych relacji wojennych. Czy przez to lepiej rozumiemy różnice obu światów?

Takie próby pojawiają się w „Sahrze” w najmniejszych opisach, sentencjach, a przede wszystkim w dialogach, miejscami istic platońskich. Zapamiętuję dwie takie rozmowy. W pierwszej ściera się siedemnastolatek z plemienia Uzra, z wyzwoleniec, byłym władcą Kolchidy:

- Czy można zdobyć pałace nikogo nie krzywdząc?

- Nie. Ale można zapobiec temu, żeby zdobył je ktoś inny krzywdząc wielu.

- A jak byś chciał umrzeć?

- Nikomu nie złorzecząc. A jeśli już trzeba, to tylko bogu.

- Jakiemu? Bo teraz jest duży wybór bogów. Zresztą, był zawsze. A w imię najnowszego, Allacha, upadają królestwa.

- Każdy stwarza boga najwygodniejszego dla siebie i nieważne jak się go nazwie, bo cechy przypisywane bogom przez ludzi są cechami przez ludzi wymyślonymi dla własnych potrzeb. Mój bóg to ten, którego słyszę w śpiewie ptaków w wiosenny poranek.

W takim „arabskim” antropomorfizmie odnajduję jakieś ślady chrześcijańskiego teocentryzmu. Łatwiej jednak szukać wspólności w uniwersum. Gorzej jeśli w ruch idą nie myśli, lecz miecze. Trudniejszy jest w związku z tym, z pozoru „polityczny”, dialog księcia Henryka Sandomierskiego z arabskim Władcą Wiernych, Mistrzem Wyznawców Nowego Objawienia, Władcą Gór – w jednej osobie:

- A ty?

- Ja? Ja służę Bogu.

- Każdy może mu służyć. A ty jak?

- Choćby obroną Ziemi Świętej przed niewier..

- Właśnie. Nie kończysz, bo nie chcesz mnie urazić. Dla ciebie wyznawcy Allacha są niewiernymi, dla nich - wyznawcy Boga Franków i Rumich. Powinieneś wiedzieć, że słyszysz tylko własnym marzeniem. O wyróżnieniu spośród siebie równych.

Usiłuję zrozumieć to wyróżnienie spośród siebie równych. Czy rzeczywście konflikt „dwóch światów” jest konfliktem uniwersalnym? Czy chodzi o zdobycie władzy nad światem, czy tylko władzy jako takiej? Przypominam sobie fragmenty „Faraona”. I jakkolwiek np. Asyria przynależała – z dzisiejszego punktu widzenia – do jakiegoś wspólnego, starożytnego świata, semickie korzenie Asyryjczyków były źródłem fundamentalnego konfliktu z Egiptem: Faraonowie tak długo walczyli z Asyryjczykami, obie strony tyle przelały krwi, walka tak głębokie zapuściła

korzenie w serca, że księżę na sam widok żołnierzy asyryjskich chwycił za miecz. Zdawało się, że wszystkie duchy poległych wojowników, wszystkie ich trudy i cierpienia zmartwychwstały w duszy królewskiego dziecięcia i wołały o zemstę.

U Prusa zbyt czytelne są aluzje do naszej, nawet nie europejskiej, ale polskiej doraźności. Tamte, dziewiętnastowiecznej doraźności. Współczesny punkt widzenia oddala nas od istoty konfliktu kultur. Jeśli coś się w „Faraonie” uniwersalizuje, to być może idea władzy.

Wracam do „Sahry”. Myślę, że nie było intencją autora pokazywanie różnic. Jeśli już, to inności. Z tej inności wysupłał Niedźwiecki przede wszystkim enigmatyczną mądrość wschodu. Uderzająca jest zbieżność postrzegania autorytetu patriarchy – inaczej przecież pojmowanego w świecie arabskim. I w „Sahrze” i w „Faraonie” ojcowizna pojmowana jest podobnie, co nie znaczy tak samo, jako kontynuacja bardziej myślenia o świecie, niż pomnażania materialności świata. Oto stary Faraon, umierając, mówi do kapłanów: Zostawiam wam następcę, który jest lwem i orłem w jednej osobie: słuchajcie go, a podźwignie Egipt do niebywałej potęgi. I znowu, o ile w „Faraonie” ową „potęgę” możemy rozumieć opacznie, po „naszemu”, niejako właśnie „materialnie”, już w „Sahrze” odczytujemy to we właściwym, arabskim sensie. Przywołuję więc na dowód znowu owego siedemnastolatka z plemienia Uzra. Jego dziad, umierając zostawił mu trzos bizantyjskiego złota, konia, wielbłąda, list i przykazanie: bądź mądry. Nie uczciwy, nie lojalny, nie odważny – tylko mądry. To wszystko. A następnie, umierający ojciec dodał: Moja klepsydra piaszczysta przesypuje już ostatnie ziarenka i piasek czeka na moje oczy i na kopyta twego konia. Zostałeś sam i bądź w życiu mądry. Pomijając urok literackiej sentencjonalności tych słów, zwracam uwagę na symboliczne znaczenie przedmiotów tej schedy (trzos złota, koń, wielbłąd). Bo właśnie po utracie tegoż wielbłąda wraz z jukami, młodzieniec napisał na tę okoliczność kasydę: Jak chamsin/ rozpraszasz miraż w kole widnokregu/

w misce pustyni/ aby zaraz dosięgnąć następnego świata/ zwielokrotnionego błękitem jezior/ zielenią palm.// Grzywa – chmura/ obrzeżona perłami gwiazd/ kopyta – pioruny/ rozzdzierające drzącą z przerażenia ziemię.// Wiem – poniesiesz mnie poza granicę strachu/ jeśli staniemy się jednością. Mądrość i poetycki urok wschodniego postrzegania świata, Niedźwiecki ubiera w esencjonalność literackiego języka, ale – jak widać na przykładzie kasydy – również w wyszukane formy, charakterystyczne dla kultury arabskiej. Wystarczy przeczytać tylko „Sahrę” i już będziemy wiedzieli, że wschodnia mądrość – to sentencjonalność. Ale nie tylko. Mądrością tej kultury, tak jak i zresztą naszej, są przecież przysłowia. Roi się od nich w „Sahrze”: Lepiej przeżyć jeden dzień kogutem, niż rok kurą, Lepszy posłuszny osioł od narowistego konia, Lepszy żywy osioł od martwego bohatera. Przysłowia, sentencje, symbolika mowy związanej – wszystko brzmi jednak zwyczajnie, zgoła nie literacko. A skoro już dotknąłem świata przedstawionego, to bardziej wierzę Niedźwieckiemu, co znaczy, że jego „starożytność” jest dla mnie bardziej wiarygodna, niż „egipskość” Prusa. Pierwszy spędził bowiem na Bliskim Wschodzie sporo zgoła reporterskiego czasu, drugi zakończył pisanie „Faraona” w samym środku Europy, w urzędowym czasie 2 maja 1895 roku o godzinie 3 po południu.

W tej konfrontacji najistotniejsze są jednak wybrane przeze mnie naczelną przesłania. U Niedźwieckiego jeden akapit z „Marakandy”, powtórzę: j e d e n a k a p i t – a zawierający paraboliczną mądrość, określającą kondycję człowieka bez względu na czas i przestrzeń: „Dobrze jest patrzeć z grzbietu wielbłąda na zaciekawione białe, czarne, żółte i brunatne twarze, wpatrzone jakby z podziwem w kafilę, mieć przy jukach włócznię z kraju Samhar, za pasem nabijanym srebrnymi guzami dziadowy sztylet – jambię z rękojeścią inkrustowaną masą perłową i ostrzem syryjskim z napisem „kto wejdzie w mój dom jak przyjaciel – wyjdzie przyjacielem, kto zechce uczynić domowi szkodę – szakale rozwłóczą jego kości”. Tłum nie mogąc wszystkiego dobrze

zobaczyć rozdziela przynajmniej podziw między wszystkich sprawiedliwie. Potem jednak trzeba zejść z wysokiego siodła, trzeba zostawić łuk i włócznię, oddać ozdobny pas i jambię i zostać nagle jakby nagim wśród skorpionów i tarantul”.

U Prusa ledwie wybrzmiewa w uszach współczesnego czytelnika śpiew egipskiego kapłana, zwracam uwagę: e g i p s k i e g o: „Połóż mirrę na głowę twoją, ustrój się w cienkie płótna i namaść się boskimi darami. Ubierz się pięknie, jak możesz, i nie pozwalaj upadać sercu twemu. Zyj dla rozkoszy, dopóki jesteś na ziemi, i nie zasmucaj serca, zanim przyjdzie dla ciebie dzień żalów”. Czyż ów

„nakaz” nie jest nazbyt hedonistyczny, sybarycki, jak na „ojczyznę najstarszej cywilizacji w świecie (...), żywy wąwóz między pustynią Libijską i Arabską” – stosując retorykę Prusa?

Skromna lektura, skromnej „Sahry”, skromnego autora – powiem nieskromnie – zbliżyła mnie do osobliwej prawdy. Psycholog powie, że to oczywiste: żeby zrozumieć drugiego człowieka, trzeba na świat popatrzeć jego oczami. Myślę sobie, że zrozumieć siedemnastolatka z plemienia Uzra, siadając na jego wielbłąda. Ale nie muszę mu go zabierać – jakby chciał Prus, ubierając swojego „Faraona” w bliższe zachodowi fasony.

## Człowiek w krajobrazie (wspomnienie o Gustawie Łapszyńskim)

Romuald Szura

Gustawa poznałem osobiście, chyba w 1970 roku. W tamtych czasach na antenie zielonogórskiej Rozgłośni Polskiego Radia prowadziłem stały cykl audycji pod nazwą „Kafejka pod metaforą”. Debiutowali w niej przeważnie początkujący poeci z regionu lubuskiego. Przy kawie prezentowali swoje wiersze, a oceniali je – obecni w studiu – uzdolnieni literacko licealiści. Nieraz autor bronił nieudolnie wyszukanych metafor lub wymyślnych skojarzeń, ale na ogół zadowolony był z radiowego debiutu. Ja najczęściej również.

W czerwcu 1971 roku, razem z Gustawem, moim późniejszym przyjacielem i z Jerzym Głapą, aktorem zielonogórskim, potem reżyserem i dyrektorem teatru, pojechaliśmy do Łagowa. Chcieliśmy w zacisznym miejscu porozmawiać o życiu i... poezji. Był to osobliwy wieczór, wieczór autorski Gustawa, wów-

czas niespełna 30-letniego poety świebodzińskiego. Jego wiersze czytał Głapa, a audytorium w osobach zaprzyjaźnionego z Gustawem górnika i mnie dziennikarza – w scenarii przepięknego jeziora i malowniczego zamku Joannitów – gawędziliśmy o twórczości Łapszyńskiego. Tekst tej rozmowy zarejestrowałem w nagraniu radiowym, którego zapis prezentuję poniżej.

**G. Łapszyński:** Krajobraz łągowski może być inspiracją dla tworzenia, pisania lirycznych wierszy. Napisałem już sporo takich utworów pod wpływem urokliwej przyrody. Może nie posiadają one wysokich walorów artystycznych, sprawiają mi jednak dużo satysfakcji. W sposób realistyczny opisywałem ten przepiękny region, pradolinę morenową goszczącą wokół. Na drugim brzegu jeziora widać kompleks starych domów łągowskich, które tak pięknie prezen-

tują się w słońcu. Szkoda, że dzisiaj jest trochę pochmurno. A w mojej poezji jest dużo słońca.

**J. Glapa:** Chętnie przeczytam kilka pańskich wierszy, które zapewne wzbogaci pan lirycznym komentarzem. Ale od czego zaczniemy?

**G. Łapszyński:** Proponuję od „Wybiegu w przestrzeń”.

**J. Glapa** (czyta):

*Być w krajobrazie to znaczy wybiec z lasu  
z polany jakiejś jak z areny o miękkich  
trocinach mchu  
z uchylonych drzwi w szemrzącej ścianie  
świerków*

*Trzeba biec trawą*

*Jak step*

*Stępa.*

*Tam człowiek dobry zamieszkał w borze  
stobrowskim*

*Dał z siebie dłonie rozwarte ziarnem*

*I zwierzęta podchodziły mu do oczu*

*jak do źródeł bijących wodą przezczystą*

*Tak będzie szedł przez powietrze gęste z*

*wzrokiem pochylonym  
przez krajobraz znany każdą ręką*

*rozsianego ziarna  
aż wiatr się zatrzyma na twarzy ostatni  
i ziemia na niego przewróci się skibą.*

**G. Łapszyński:** Krajobraz, który opisuję jest zmienny. Jest to właściwie historia ludzi, którzy widzą krajobraz nie tylko jako przeżywane piękno, ale też jako konkret, jako ziemię orną, którą trzeba uprawiać i od, uprawy której robią się odciski na dłoniach.

**R. Szura:** Pan, który jest z nami, to podobno Twój dobry znajomy, który także lubi wiersze?

**G. Łapszyński:** Przepraszam za roz-targnienie. Przedstawiam – ten człowiek nazywa się Piotr Węglowski, jest górnikiem. Pracuje w Sieniawie Łagowskiej, a mieszka tutaj, po drugiej stronie jeziora.

**P. Węglowski:** Zgadza się. Mój wyuczony zawód to mechanik lamp górniczych. Obsługuję lampy, które górnicy codziennie zabierają na dół. Tam również mamy do czynienia z pewnego rodzaju krajobrazem, ale zupełnie innym, ciemnym i mokrym. Nie

wiem czy o nim napisałbyś jakiś wiersz Gustawie? Oczywiście moja praca nie ma nic wspólnego z poezją. Polega na tym aby sprawnie obsłużyć górników, zanim zejną na dół. A jeżeli już tam zejną, to zaczynam moje prozaiczne czynności, takie jak uzupełnianie akumulatorów, usuwanie różnych technicznych defektów narzędzi i urządzeń. A kiedy górnicy wychodzą z dołu na powierzchnię, to muszę odebrać od nich lampy górnicze. Po wyjściu z tamtych ciemności blask słoneczny często poraża ich oczy. Ale dopiero na górze czują się pewnie i bezpiecznie. Czy mógłbyś o tym napisać wiersz?

**J. Glapa** (czyta kolejny wiersz):

*Oto jestem lśniący w słońcu*

*z ugorem białych rąk*

*Oto jestem i ślad mój przyprószony*

*jak praptak nawarstwiony ziemią*

*jak trawa co zarasta trawą*

*i drzewa rosną bez mojego oddechu*

*łąki mną nie tarzane w siano umierają*

*i rzeka płynie z wodą zapomnianą*

*i rzeka płynie Ojczę.*

**G. Łapszyński:** Postać mojego ojca zostanie właśnie w tym krajobrazie trudnej i zno-jnej pracy. Pamiętam, że kiedyś dostałem od niego mocne cięgi. Może właśnie od tego wzięła się moja poezja... W krajobrazie jest także ból. Teraz rozumiem, że mój ojciec to coś więcej niż zwykły człowiek, tym bardziej, że jest bohaterem wielu moich wierszy. Cho-ciaż nie uczył mnie krajobrazu, patrzenia w horyzont.

**R. Szura:** A czego uczył?

**G. Łapszyński:** Pracy. Trzymania w ręku siekiery, kosy i innych narzędzi, które zоста-wiają na dłoniach odciski, bolesne odciski.

**R. Szura:** A kobieta?

**G. Łapszyński:** Kobieta to też była ważna osoba w domu. Myślę o mojej matce. Chociaż w moich wierszach jest niewiele o niej. Myślę, że napiszę o niej więcej, jeżeli w dalszym ciągu zostanie we mnie ta potrzeba. Kobieta, która znajduje się trochę w cieniu mego ojca, w cieniu człowieka, którego nazwałbym - może przesadnie – herosem, człowiekiem

pracy. Kobieta, która w koszyczku czy w chuście zawiązanej niesie ojcu na pole obiad. Kobieta, która pyta go czule, po chłopsku: „Stary, a czyś ty się już nie zmęczył? Odpocznij sobie. Przyniosłam ci bułki z masłem, kiełbasę zapiekaną i sok do picia. Bo przecież jest gorąco, żniwowanie w pełni. Odsapnij trochę.” Zresztą te realia są mi dobrze znane i wiem co to znaczy pracować w upalnym skwarze...

**R. Szura:** Czas jednak wybiec w pole kolejnym twoim wierszem.

**J. Glapa** (czyta):

*Taka jest ziemia, daleka i bliska  
Piszą ją znośnie równymi rzędami ziarna  
Taka w niej rzeka modra – że zbliża się niebo  
świecą tam srebrnołuskie konstelacje  
I drzewa się stamtąd wspinają na palcach  
korzeni  
Ich czuby owinięte są białymi turbanami  
chmur  
i dom jak łąd się wylania w beżmiarze  
patrzenia  
czeremchą bielony staje się jasny od  
światła.*

**G. Łapszyński:** Dom to bardzo ciepłe określenie. Nawet w tej chwili, myśląc o moim rodzinnym domu, widzę matkę, ojca i rodzeństwo. Jasny, otoczony krzewami głogu, z rosnącą nieopodal czeremchą i kasztanem. Są to trochę oklepane rekwizyty poetyckie, ale tak jest naprawdę. I dlatego krajobraz ten zagnieździł się w mojej pamięci. Wciąż dostarcza mi tematów. Może nie do końca jest to uczciwe, bo odkrywam prawdziwą kopalnię poetycką, którą eksploatuję, może nawet nadmiernie, co zarzucają mi niekiedy czytelnicy. Ale moje teksty są otwarte jak przestrzeń.

**R. Szura:** Czy nie uważasz, że brzozy to najbardziej dekoracyjny element krajobrazu?

**G. Łapszyński:** Osobiście brzozy nie lubię, bo kojarzą mi się z płaczem, partyzancką przeszłością wojenną, a przecież jestem w tym wieku, że mam prawo cieszyć się życiem.

**R. Szura:** Wolisz zielony chlorofil?

**G. Łapszyński:** ... zielony chlorofil, który jest synonimem życia i który czuję wchodząc do lasu...

**J. Glapa** (czyta kolejny wiersz):

*Bo co jest miłością – tętnienie  
nieprzerwane rzeki  
kropla co urasta w oku do źródła  
Co jest ptakiem, który z ramion kobiety  
wydźwiguje skrzydła  
Bo co jest miłością – jeśli w wodospadzie  
włosów  
kryję twarz przed jasnością i jasność  
ostrą widzę  
białe czereśnie rumienią się owocem  
zbożnie w zbożu  
zamieszkuje chochoł, odchodzi wiatr  
od skóry  
i co jest Tobą – bo jeżeli idziemy opasani  
kręgiem –  
to jest apogeum oczu  
W drzewo przechodzisz, drzewem się  
stajesz  
obrastasz ptakami rozskrzydlonymi  
na brwiach.*

**G. Łapszyński:** Człowiek, który jest zajęty pracą na roli, nawet nie dostrzega tego – powiedziałbym – filozoficznego przemijania. Człowiek jest jak drzewo, które wyrasta, potem ze starości osypuje się z kory, w jego sokach zastyga zielony chlorofil. I konary opadają z liści. Zamienia się w dosyć widoczną korę, pełną pofałdowań. Są to po prostu zmarszczki człowieka, którego smaga wiatr w otwartym krajobrazie, który z tą ziemią jest związany tak dosłownie, że jeśli nawet przeminie, to idzie do ziemi. To właśnie tam w jakiejś warstwie zamieszka.

**J. Glapa** (odczytuje następny wiersz):

*Jak żegnać krajobraz  
jaką zaciskającą powieką zatrzymać  
spojrzenie?  
Jak ująć ma człowiek z ciała  
którym zapełnił powietrze?  
Jeszcze ze swego okrętu, co przemyka  
powietrzem  
majakami błękitnymi, widzę ziemię.*

**G. Łapszyński:** Zawsze mnie fascynował horyzont. Dla mnie krajobraz jest nadal jakimś

wielkim biegiem do horyzontu. Jest to trochę dziecinne myślenie, ale wciąż chcę wiedzieć co znajdę za horyzontem?

\* \* \*

Przez długie lata przyjaźniłem się z Gu-  
ciem. Spotykaliśmy się przeważnie w Świe-  
bodzinie, gdzie pracował w różnych zawodach  
i w różnych instytucjach, gdzie współtworzył  
życie kulturalne i artystyczne miasta. Organi-  
zował różne imprezy literackie (m.in. turniej  
jednego wiersza dla poetów lubuskich), pisał  
i wydawał kolejne tomiki swoich wierszy.  
Kilka jego utworów przełożyłem na język  
niemiecki. Dwa z nich ukazały się w gazecie  
„Neuer Tag” za Odrą.

Chętnie spotykałem się z nim w Sanatorium  
Rehabilitacyjno-Ortopedycznym dra Lecha  
Wierusza, gdzie pracował przez pewien czas  
ze swoją żoną Ireną, a także w Miejskim  
Domu Kultury, gdzie odgrywał określoną rolę  
jako animator kultury. Oboje odwiedzali mnie  
w moim zielonogórskim mieszkaniu. Mieliś-  
my z Gustawem wiele wspólnego, i niejedno  
poetyckie, a czasem też całkowicie prozaiczne  
przeżycie.

Poeta zmarł w czerwcu 2002 roku.

Jednak ze wszystkich zapamiętanych  
przeżyć, najciekawsze dla mnie było spotkanie  
z Gustawem w czerwcu 1971 roku, nad  
jeziorem w Łagowie.

